Autorka, młodziutka dziewczyna, wraz z rodzicami i siostrą przebywała w getcie w Krakowie. Matce i siostrze udało się przejść na „stronę aryjską”, dalsze ich losy nie są znane. Autorka wraz z ojcem została zesłana do obozu w Płaszowie. Ojciec zginął zesłany w sierpniu 1944 r. do obozu w Mauthausen.

W związku ze zbliżającą się ofensywą radziecką przetransportowano więźniów z Płaszowa do obozu w Oświęcimiu, a w październiku 1944 r. do obozu w Bergen-Belsen.

W maju 1945 r. tę resztkę już konających więźniów wyzwoliła armia angielska.

Pamiętnik pisany był w Bergen i w Krakowie w lipcu 1945 r.

Z archiwum ŻIH, sygn. 302/74

*

Wzięto mnie z getta krakowskiego do obozu w Płaszowie 13 marca 1943 r. Szłam z silnym postanowieniem: nie dam się i wojnę przeżyję. Nie poszło tak łatwo. Zaraz na wstępie dały się we znaki długotrwałe apele, czyli zliczanie ludzi znajdujących się w obozie. Zdrów czy nie, kto żyw stał wyprężony na baczność, aby nie utrudniać liczenia blokowemu. Źle, źle i jeszcze raz źle. Jak na złość, bo zimno coraz gorsze i marcowa noc to nie lipcowa, apel nie chciał się zgodzić. Wreszcie zgadza się i całą hurmą wpadamy do baraku. Lecz nie na tym koniec, chyba się wszystkie złe duchy przeciw nam sprzysięgły, bo coś jeszcze nie w porządku. I jeszcze raz i jeszcze raz, czułam że zdrowe nerwy opuszczają mnie. To był pierwszy wieczór, a raczej noc. Godzina w tym przypadku nie odgrywała roli. To był pierwszy wieczór i zło bez granic zaczęło się. Wreszcie koło północy wyciągnęłam zziębnięte kości na deskach pryczy. Niestety, nie miałam niczego co uprzyjemniałoby wypoczynek: ani koca, ani poduszki. O to jednak nie martwiłam się, bo były możliwości zdobycia tych skarbów. A teraz, leżąc na pryczy i wykorzystując chwilę spokoju zastanawiałam się nad sytuacją, w jakiej się znalazłam.

Z matką i siostrą rozłączyłam się, poszły na „aryjską” stronę, zdobyły „aryjskie papiery”. Zostałam z ojcem bez pieniędzy i bez widoków na nie, mniejsza o to, a gdyby tak nawiać? Pierwszy raz myśl ta wwierca się w mózg i już nie opuszcza.

Nazajutrz zwierzyłam się z mych planów ojcu. Plany są nie do przeprowadzenia: za jednego zbiegłego roztrzeliwują kilku innych. Widzę, że ciężkie wrota więzienia zamknęły się za nami, więc teraz trzymać się zębami tej pierwszej przewodniej myśli: nie dać się.

Parę dni wychodziliśmy do Krakowa otoczeni „wachą” ukraińską na placówkę „Mobelbeschaffungsamt”-Kudla. Przez parę dni żołądek był jako tako nasycony, lecz zredukowali mnie i ojca i zostaliśmy bez przydziału pracy. W tym czasie została przeprowadzona rewizja w całym obozie w poszukiwaniu pieniędzy i kosztowności. Panowie ODemani wchodzą do każdego baraku i błagają by im ratować życie: „jeśli nie oddacie wszystkich pieniędzy, złota, srebra, drogich kamieni i nawet wiecznych piór i ołówków — zostaniemy rozstrzelani”. Ogarnia nas lęk przed odpowiedzialnością. i jeśli nawet znajdzie się śmiałek, który ukryje coś z zakazanych rzeczy, to zaraz znajduje się drugi, który go demaskuje i skarb umieszcza się w przygotowanej na ten cel walizce. Trudno sobie wyobrazić, ile waliz wypełnia się po brzegi. Pierścionki jako najłatwiejsze do ukrycia chowają ODemani do swych kieszeni. Dziwne że im szef obozu Goeth pozwolił zachować swoje pieniądze i pierścionki, więc mimo wszystko zakaz nie był tak ostry, jak go nam przedstawiono; jak zwykle, kto miał głowę na karku, ten był górą.

Pomimo że w tej rewizji nic nie straciliśmy, bo nie mieliśmy nic, znaleźliśmy się w sytuacji dość przykrej. Groziła nam po redukcji najgorsza praca to jest „Barackenbau”. Ojciec na szczęście uzyskał inny przydział, ja poszłam tłuc kamienie przy szosie obozowej. Do tego czasu nie widziałam trupa. Pocieszyłam się, że to i tak ładnie, jeśli na dodatek ja nim nie byłam.

Siedziałyśmy, przeważnie młode dziewczęta, przy kupie kamieni, prosiłyśmy Boga, by odgłos młotów tłukących docierał do naszego szefa obozu, aby tylko był zadowolony, że jego ludzie pracuj ą i aby tylko nie chciał łaskawie wyjść ze swej willi przypatrzyć się realizacji swoich planów. Biada wtedy naszemu życiu. Zeksujemy sobie nawzajem (zeksować znaczyło dawać znaki reszcie pracujących w wypadku zauważenia władzy), aby tylko na czas, bo jeśli szef — choć olbrzym — nagle wyrośnie spod ziemi, jak karzełek, za późno będzie na ocknięcie się i zmuszenie zmęczonej ręki do uchwycenia młota, by miarowymi uderzeniami rozwalać bryły kamienne. Nie zawsze można się ustrzec od nieszczęścia. Jeden wypadek toczy się za drugim. Obok mnie siedziała matka z córką. Goeth podszedł do matki, wyjął jej młotek z ręki i pokazał, jak wygląda prawidłowe rozbijanie kamienia. Był znawcą w każdej dziedzinie. Gdy kobieta ujęła powtórnie drżącą ze zdenerwowania ręką młotek, szef zastrzelił ją. Kobieta cicho skonała, a my

tłukłyśmy i tłukły jakby pod młotem, miast kamienia, leżał nasz garbaty los. I córka tłukła kamienie przy trupie matki. Dopiero później, gdy burza przeszła, a szef udał się po polowaniu na spoczynek, słyszało się gdzieniegdzie szloch ściszony lękiem przed złym duchem i coraz częstsze wyrzekanie „i po co ja żyję?", a potem wyliczanie osób z rodziny, które już nie żyj ą. To był dopiero początek naszego pobytu w obozie. Tak mijały miesiące. Jeśli szef był w humorze, ze spokojem zabijał ludzi i nawet pośpiewywał do tego swą ulubioną piosenkę „schenk mir dein Herz o Maria..." Gorzej gdy ponosiły go nerwy. Wymierzał wtedy niemożliwą do wykonania pracę. Bez żadnego „ale" cały obóz bierze się do pracy polegającej na noszeniu płyt z nagrobków cmentarnych, piasku, wody, rozbijania kamieni na żwir i robienia szosy, jaką na ten dzień wyznaczył szef. Jak zwykle wszystko sprzysięgło się przeciw nam. Żar bij ący z j asnego nieba palił ręce, nogi i zgięte od dźwigania ciężaru plecy. Pot strumieniami zlewał się z twarzy, a droga tak powoli rosła. Zapadł wieczór, a plan pracy nie wykonany. Szef kazał zwołać apel. Czujemy, co się święci. Ustawieni szeregami stoimy na baczność, choć nogi drżą pod nami ze zmęczenia i strachu. Przedstawienie się rozpoczyna. Nadchodzi oddział „czarnych" (Ukraińców) z ręcznymi karabinami maszynowymi i ustawia się vis a vis nas. Ustawione ławy tłumaczą nam, że za chwilę nastąpi biczowanie wielu ludziom już znane.

Szef rozpoczyna krótką, przemowę o niewypełnieniu rozkazów. Przywołuje wszystkich kierowników grup pracujących, tak zwanych „Capomanów". Wszyscy kładą się na ławach ze ściągniętymi spodniami i poddają się biczowaniu. Do 25 dolicza każdy, poczem wstaje, melduje się przed szefem i odchodzi na bok. Cała grupa capomanów wybiczowana, czas więc dokończyć egzekucji i rozstrzelać ich. Cudem udaje się któremuś z ODemanów zmienić rozkaz. Capomani zostają przy życiu, w zamian za co szef wybiera większą ilość ludzi do biczowania. Wchodzi między szeregi, a nam cierpnie skóra. Na całym placu apelowym przy dwudziestotysię- cznej rzeszy kompletna cisza, od czasu do czasu przerywana okrzykiem bólu bitych lub świstem batów. Przedstawienie trwa parę godzin, wreszcie zwolnieni uciekamy do baraków, by ostatkiem sił i nerwów rzucić się na pryczę. I tak co dzień co innego. Codziennie „uzasadniona" śmierć ludzi. Raz że ktoś krzywo spojrzał na szefa lub źle się zameldował, innym razem nieprawidłowo stał na baczność lub źle ujął łopatę w rękę, bo nie szedł równo w szeregu, bo palił papierosa, czego to szef zabronił, lub jadł przy pracy. Czasem znużony nocną pracą, głodny i niewyspany pochylił głowę nad stołem i tysięce innych równie ważnych powodów. Po pewnym czasie spotkało mnie szczęście — dostałam się do warsztatów trykotarskich. Było to już we wrześniu 1943 roku. Praca tam była bardziej odpowiadająca kobiecie (pomijając zakładany olbrzymi kontyngent) i już mniejsze wystawienie na oko „pana życia i śmierci". Jednym słowem można było wytrzymać. Parę miesięcy spokoju i nowy „cures". Nadszedł grudzień. Przepalone przewody elektryczne spowodowały pożar, który, na szczęście czy nieszczęście, ugaszono. Jednak już pomyślano nad sposobem zabezpieczenia obozu od spłonięcia. Powstał pomysł, by w tym celu wykopać w wielu miejscach czworokątne doły jako zbiorniki na wodę. Praca musiała być wykonana w takim czasie, aby nie przyniosła uszczerbku wydajności pracy codziennej. Wyznaczono szychty od godz. 7 do godz. 11 wieczorem, od 11-tej do3-ciej w nocy i od 3-ciej do godz. 7-mej rano. Koszmarne noce z zawieruchą śnieżną dopełniały tragizmu sytuacji. Zgrabiałe od mrozu ręce nie mogły utrzymać łopaty, a nawet silny człowiek z trudem utrzymywał równowagę wobec zawieruchy. Gdy dyżurna nocna w baraku mieszkalnym budziła mnie, że czas mojej szychty nadszedł — skóra na mnie cierpła, ale

zdawałam sobie sprawę, że nie ma rady i trudno buntować się wobec przemocy. Ciągle jeszcze za niewypełnianie rozkazów groziła kula. Wiedziałam także, że mimo późnej pory gość może się zjawić, zła pogoda nie odstraszała go i biada wtedy grupie nie pracującej lub nie będącej w pełnym składzie. Mimo wszystko nie chciałam ryzykować życia mego i innych towarzyszy niedoli. Dalej czepialiśmy się rękami i nogami tego marnego życia, aby tylko dzień przepchnąć, a jutro już może być lepsze. Żadne jutro lepsze nie było, przeciwnie. Zdawaliśmy sobie sprawę z sytuacji i grzęźliśmy dalej w tym bagnie. Nie było już prawie rodziny lub nawet członków rodziny, trzymających się cały czas razem. Przypominam sobie „akcję" na starców, która jeszcze wtedy zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Z nakazu Goetha naczelny lekarz obozowy Gross sporządził listy osób najstarszych wiekiem. ODemani zaprowadzili skazańców przed oblicze zastępcy Goetha — Johna — a ten rozstrzygał, czy nadają się do życia, czy na śmierć. Przeważnie nadawali się do rozstrzelania. Akcja odbywała się za drutami ogradzającymi baraki. Nie zapomnę nigdy kobiety prowadzonej przez ODemana i biegnącej za nią córki. Obydwie oniemiałe ze zgrozy względem tego co za chwilę miało następie. Wreszcie zamknęły się wrota druciane za matką, wtedy usłyszałam rodzierający krzyk córki: „mamo, gdzie ty idziesz? dlaczego?" Rzuciła się na druty bramy, lecz nic ani nikt nie mógł jej zwrócić matki. I wiele podobnych scen rozpaczy ludzi widzących jasno, że jeszcze chwila a nigdy już nie ujrzą swej jedynej matki, córki, ojca czy syna.

I coraz mniej nas było. Ciągłe wysyłki rozrywały ludzi przeważnie na zawsze. Najtragiczniejsza była wysyłka dzieci, starszych i chorych do Oświęcimia 14 maja 1944 r. Trudno opisać rozpacz matek na widok znikających im z oczu dzieci. Przez tyle miesięcy ukrywały je z narażeniem życia na pryczach, nie wypuszczając na światło dzienne, po to aby jeden podstępny rozkaz zniweczył wszystkie próby utrzymania ich przy życiu. Szef, wówczas już w randze „Kommandora", wyznaczył jeden barak na tak zwany „kinderheim". Dzieci miały tam specjalną opiekę i lepsze warunki. Wszystko w celu zamydlenia nam oczu i zmylenia czujności. 14 maja 1944 r. cały Kinderheim z łatwością opróżniono z dzieci. Jadąc autami i wozami poruszały nam zgromadzonym na placu apelowym, pod strażą Ukraińców, na pożegnanie rączkami. Wiedzieliśmy, że widzimy je ostatni raz. Wiedział o tym przede wszystkim Goeth. Rozkazał obrócić się tyłem do szosy i usiąść, aby nie widzieć aut. Obawiał się może także z naszej strony pod wpływem rozpaczy jakiegoś odruchu sprzeciwu. Niestety, byliśmy tylko kupą bezbronnych zrozpaczonych i bezsilnych więźniów. Po chwili modne tango „Stern von Rio", rozbrzmiewające przez ustawione na placu megafony, zagłuszyło krzyk matek i dzieci. Dla wzmocnienia emocji usłyszeliśmy także pieśń umierającego dziecka, które żegnając się z matką przyrzeka jej, że nawet w niebie o niej nie zapomni. Mieliśmy rozdarte serca, a nowe wrażenia wciąż zacierały poprzednie.

8 sierpnia wysłano mojego drogiego ojca do obozu w Mauthausen, skąd już nie wrócił. Jak gdybym przeczuwała to miałam po jego wysłaniu wrażenie, które chyba tylko ma pies kopnięty nogą za drzwi na słotę. Jak długo byliśmy razem, jako urodzona optymistka umiałam dodawać mojemu ojcu otuchy. Sam siebie nie umiał podtrzymać na duchu. Dużo i ja musiałam wtedy walczyć z sobą, aby nie załamać się, gdy ogólny nastrój był bardzo przygnębiający. Przecież

podstawą energii w tym naszym zwalczaniu przeszkód był humor i zawziętość. Jeszcze ciągle trzymałam się tej pierwszej przewodniej myśli: nie dać się. Nadszedł wreszcie czas, że sytuacja polityczna poprawiła się na naszą korzyść. Lecz i tym nie mogliśmy się cieszyć. Im bliżej był front rosyjski, tym dalej usuwano Żydów. W październiku 1944 r. pozostała w Płaszo- wie tylko mała grupa likwidacyjna. Resztę wywieziono do Oświęcimia. Nic w późniejszych czasach tego obozu nie zrobiło na mnie takiego wrażenia, jak „chrzest" przez jaki musiało się przejść wstępując do obozu. Zajechałyśmy do Birkenau (Brzezinki), tam znajdowała się łaźnia i krematorium. Weszłyśmy do dużej sali, gdzie złożyłyśmy swoje rzeczy. Zanim zapadło postanowienie o naszym losie, rozmawiałyśmy z załogą łaźni o tamtejszych warunkach. Pouczali nas, że wszystkie rzeczy zabiorą nam. Wkrótce wolałyśmy nie słuchać tych, niestety nie przekoloryzowanych, opowiadań na temat lagru i nie psuć przedwcześnie nerwów. Po 24 godzinach zdecydowano się przyjąć nas. Program był następujący: wszystkie rzeczy odłożyć, wziąć tylko grzebień, mydło i buty, a następnie kolejno podchodzić do niemieckiego lekarza, aby ten oglądał czystość ciała. Najmniejsze zauważone zadraśnięcie ciała decydowało o odstawieniu danej osoby na bok. Odstawieni mieli krótką drogę do krematorium. Pozostali przechodzili przez kolejkę młodych przeważnie, najlepiej się do tego nadających, Słowaczek, także więźniarek, a te przeprowadzały gruntowną rewizję ciała. Znaleziony drogocenny przedmiot, a nawet fotografię, odrzucały na bok z dodatkiem przekleństw i bicia. Było to tak zwane „filcowanie". Z kolei podchodziło się do strzyżenia owłosionych części ciała. W zależności od humoru fryzjerek — Słowaczek golono głowę na gołą pałkę, względnie zostawiano kępkę podskubanych włosów. Operacji towarzyszyły jak wszędzie krzyki i uderzenia. Nareszcie kąpiel. Przed wejściem do tuszowni należało buty zamoczyć w beczce z wodą, aby ewentualnie ukryty papier w zelówce zniszczył się. Podchodzimy kolejno do miednicy pełnej jakiegoś cuchnącego płynu, mającego uchronić nas przed wszami, tego już nie żałowano. Po nasmarowaniu głowy żrący płyn obficie napływał do oczu. Następnie grupą ustawiłyśmy się pod tuszami. Po zimnej kąpieli weszłyśmy mokre i zziębnięte do sali odzieżowej. Poganiane batogami, także przez elegancko ubrane więźniarki — Słowaczki, szybko porywałyśmy rzucane części garderoby. Mnie przypadła w udziale dzienna koszula, spódnica wąska jak kiszka i nocny kaftanik. Buty na szczęście miałam drewniane, więc mi je zostawiono. Skórzane odbierano i dawano w zamian drewniane czółna holenderskie, do których zamiast dwu nóg weszłyby cztery. Tak poprzebierane nie mogłyśmy się poznać nawzajem. Wyszłyśmy przed łaźnię (była znowu noc) i ustawione w szeregi wlokłyśmy się stukając drewniakami po coraz bardziej błotnistej od padającego deszczu drodze. Tak zaprowadzono nas do obozu mieszkalnego. Na samym końcu długiej ulicy obozowej mieścił się blok transportowy trzydziesty pierwszy. Weszłyśmy piątkami do nieoświetlonego stajennego baraku bez okien, tylko z wąskim pasmem szyb u sufitu. Zamiast podłogi klepisko i połamane trzypiętrowe prycze. Na dobitkę sufit przemókł i na kojach, tak tam zwanych pryczach, powstały istne stawy. Zziębnięte i przemoczone pokurczyłyśmy się na gołych deskach. Czułyśmy dziwny tępy ból w całym ciele i mózgu. Widziałyśmy się za życia pogrzebane. Najgorsze samopoczucie miały dziewczęta z ogolonymi głowami. Pomimo ogromnego znużenia nie dało się zasnąć. W poszukiwaniu lepszego miejsca natrafiało się w ciemnościach pokurczone z zimna i stąd krzyki i narzekania z każdego kąta. Niewiele czasu upłynęło, a tu już godzina 5 rano i okrzyk: „Kaffeeholen". To jedna z dawna już na tym bloku będących porządkowych, tak zwanych sztubowych, nawoływała nas do wstania. Blokowa jeszcze spała w swoim czyściutkim, wprost eleganckim, pokoiku. Kilkanaście czujących się na siłach wstało i poszłyśmy aż ku bramie wejściowej obozu do kuchni. Oczywiście bałagan, zmuszone więc byłyśmy stać na dworze, po

czym wydano nam kilka pięćdziesięciolitrowych kotłów kawy. Ledwo dowlokłyśmy się z ciężarem do bloku, a już zarządziły niemieckie nadzorczynie (aufseherki) apel. I znów beznadziejne stanie na zimnie. Apel trwał parę godzin, a gdy nareszcie zakończył go gwizdek aufseherki, musiałyśmy odczekać przed blokiem, aż sztubowe doprowadzą go do porządku. Znalazły się jakieś sponiewierane koce, sztubowe miały piękne, wełniane, w dowolnej ilości, i prycze zostały elegancko pościelone. Wreszcie wpuszczono nas do środka z surowym zakazem kręcenia się po bloku. Przymusowe siedzenie, tak że do latryny nawet, budynek mający przypominać klozety, można było wychodzić tylko grupami i w oznaczonej porze. Teraz dopiero, przy skąpym świetle dziennym wpadającym przez szybki, rozglądałyśmy się po „pałacu" i zauważyłyśmy, że środkiem, wzdłuż całego baraku, biegnie mur wysokości metra, malowany w czerwono białe cegiełki. Był to symbol Oświęcimia — piec. Palenisko znajdowało się przy wejściu do baraku, a ciepło miało płynąć środkiem muru. W piecach tych jednak nigdy nie palono, nie mieszkały w barakach stajennych konie tylko więźniowie, a ci, według Niemców, mieli dość ciepła. Do godziny 11 względny spokój, przerywany wizytami aufseherek, chcących oglądać nowo przybyłe „bydło". O godz. 11 zbiórka po obiad. Znów to samo dźwiganie kotłów, ale już z nadzieją, że gorący płyn rozgrzeje kiszki. Siedziałyśmy na pryczach, pożerając wzrokiem inne mające już miski pełne gorącego kapuśniaku. Misek, niestety, było mało i musiałyśmy jeść partiami. Przekonałam się, jak ogromny wpływ ma jedzenie na człowieka. Już po zupie inaczej patrzyłyśmy w przyszłość. Może jakoś to wszystko się ułoży. Niestety, wieczorny apel położył kres zapałowi. Często później powtarzane słowa blokowej, oczywiście Słowaczki, że „to nie Płaszów, to Auschwitz" lub „Auschwitz was nauczy, wychowa tak jak nas" — dały do zrozumienia, że to wszystko złoto w porównaniu z tym co nas czeka. „I to dopiero" — mówiły blokowe — „przyszłyście na złote czasy Auschwitz, trzeba wam było być, gdy myśmy przyszły i nie tak byłyśmy traktowane". No i oczywiście następowało długie kazanie na temat zachowywania się w baraku i na apelu. A teraz pół godziny karnego klęczenia w błocie. Na tę scenę nadszedł jeden z kręcących się essesowców. Rozkazał nam natychmiast wstać i skrzyczał blokową za samorzutne karanie nas. Zwracając się do nas zalecił nam ślepe posłuszeństwo, a w razie złego stanu zdrowia do, pod jego opieką będącego, Krankenbau. Po jego odejściu zupełnie nie speszona blokowa oznajmiła nam że: „on tu nie ma nic do gadania i tylko ona rządzi ludźmi", a nawet zdradziła nam tajemnicę że: „ten jego «szpital» prowadzi wprost do pieca, więc jeśli ktoś chce, to proszę bardzo". Nie wiedziałam w tej chwili u kogo należy podziwiać większy fałsz i podstęp, czy essesowca — rodowitego Niemca, czy u Słowaczki — rodowitej Żydówki. Po tej scenie dość jasno wszystko dotarło do naszej świadomości. Rozkazy zostały zrozumiane i zapamiętane. A teraz, piątkami do naszego stajennego raju. Dzień po dniu mijał, jeden do drugiego podobny, tak minął tydzień. Nagle rozkaz, aby wszystkie „płoszowianki" ustawiły się na Lagerstrasse w kierunku bramy. Cały pochód ruszył pilnowany przez blokowe całego obozu, które nie żałowały krzyków i bicia. Już pierwsze szeregi wyszły za bramę, gdy nowy rozkaz zawrócił nas z powrotem. Później dowiedziałyśmy się, że szłyśmy drogą do krematorium, tylko jakiś cud lub kaprys essesowca uratował nam chwilowo życie. Po paru dniach tatuowano nas i przesłano do właściwego Oświęcimia. Jako więzień nr A-26811 znalazłam się nagle, jak mi się zdawało, w raju. Zamiast stajennych baraków piętrowe murowane bloki z umywalnią i angielskimi klozetami. Sale mieszkalne oświetlone elektrycznością, podłoga czysta, w kaflowym piecu napalone i, co najważniejsze, czyste, z dwoma kocami na osobę, pojedyncze, jednopiętrowe prycze. Nie posiadałyśmy się z radości i nagła wesołość ogarnęła nas na myśl, że choć będziemy musiały ciężko pracować, ale będziemy mieszkać jak ludzie. Po jeszcze jednym przejściu procederu

kąpieli, podzielono nas na grupy czyli komanda. Niestety, przydzielono mnie do najgorszego. Praca była różna, lecz wszędzie jednakowo ciężka. Raz przy kopaniu rowów lub budowaniu szosy, to znów po pas w wodzie wyciągałyśmy ze stawu wodorosty, albo wyrywały końską rzepę z moczarów na kilkustopniowym mrozie bez użycia rękawiczek. Nic nie miało wpływu na zmianę naszej pracy. Śnieg, mróz czy deszcz stałyśmy umazane błotem, zgrabiałymi rękami wykonując beznadziejną pracę, której zdawało się nigdy końca nie będzie. Uginałyśmy się pod ciężarem trag pełnych błota ściąganego z drogi polnej lub piasku, a kij, co chwila nowy, łamał się na naszych plecach. To pilnujący essesman lub jego pomocnica Niemka zachęcali nas w ten przekonywujący sposób do biegu z ciężarem. Gdy o godzinie pierwszej gwizdek ogłaszał przerwę obiadową, rzucałyśmy czym prędzej łopaty czy kilofy, by pędzić po łyżkę ciepłej strawy. Nie obeszło się i wtedy bez bicia, bo albo narzędzia nie były dość równo ustawione, albo miska na zupę źle podstawiona. Bez łyżek, z różnego rodzaju garnków, chlipałyśmy gorący płyn wydający się najwykwintniejszą potrawą. Przerwa półgodzinna skrócona do minimum szybko mijała i znów wracałyśmy do pracy i katowania. Tak minęły cztery miesiące. W tym czasie skoszarowano nas na naszym komandzie, tak że nie dosyć w pracy, ale i w baraku byłyśmy pod okiem tych samych katów.

Nareszcie zmiana: o drugiej w nocy alarm i nalot lotniczy. Dostajemy rozkaz natychmiastowego zebrania się i czekania na dalsze dyspozycje. Czerwona Armia zbliża się, za dzień mają być tu. Rosjanki będące z nami zaczynają wyśpiewywać na urągowisko Niemcom, chodzącym z nosami na kwintę, swoje narodowe pieśni. Nastrój stał się po prostu wesoły. Nikt nie dbał o niebezpieczeństwo. Na drugi dzień, to znaczy 18 stycznia 1945 r., byłyśmy gotowe do wymarszu. Zrzedły nam miny, gdy zdałyśmy sobie sprawę, że kto wie jak długo wypadnie nam maszerować bez kawałka chleba. Przeczucia nie myliły nas. Bez jedzenia wlokłyśmy się dwa dni i noce przez 60 kilometrów, aż wreszcie zrobiono postój w szopie dla bydła, gdzie miałyśmy dostać żywność. Było jej jednak tak mało, że tylko silniejsze zdobyły kawałek Chleba. Słaba głodowała dalej skazana na to, że jeśli nie podoła marszowi padnie od kuli „postena” (straż pilnująca pochodu). Widok trupów i ledwo zakrzepłej krwi dodawały nam energii. Pomimo tego, że nogi ledwo nas niosły, przyspieszałyśmy kroku, aby nie zostać w tyle. Trzeciej nocy maszerowałyśmy drogą, po której obydwu stronach szumiał bór. Czułyśmy bliskość partyzantów. I Niemcy o tym wiedzieli, bo odbezpieczyli karabiny gotowi do strzału. Niestety, wyzwolenie nie nadeszło. Drwiłyśmy same z siebie, że na cóż partyzantom garść osłabionych, wyklętych bab. Wreszcie nadszedł kres wędrówki i w Lóslau zawagonowano nas. Po 100 do 120 w wagonie. Ścisk okropny, każda chciała jakie takie miejsce zdobyć, a tu mowy o siedzeniu nie ma. Jak zawsze zwyciężał silniejszy. Krzyki i płacze uciszane kolbą postena, siedzącego również w wagonie dla pilnowania nas, były oznaką jak nam wygodnie. W dodatku posteni znalazłszy kilka elegantszych zabawiali się z nimi, zdobywszy najpierw spory kawał miejsca. Po dwudniowej jeździe w otwartych wagonach, narażone na deszcz, śnieg i sadze, owinięte kocami wziętymi na drogę, wyglądałyśmy jak widma. Zmęczone staniem padałyśmy jedna na drugą, wywołując przekleństwa i bitki. Nie było jednej, która nie miałaby podrapanej twarzy i rąk, kilka miało rozbite głowy od kolby postena. Trup był mile widziany, bo po wyrzuceniu go z wagonu pozostawało jedno miejsce więcej.

Po czterech dniach żywienia się śniegiem, dojechałyśmy do Buchenwaldu, gdzie nas przeładowano i dano po pół bochenka chleba. Miał wystarczyć na cztery dni, lecz było ponad nasze siły wytrzymać głód, mając przy sobie bodaj okruch chleba. Zapas poszedł w dwa dni, a następne były znów postne. Gdy na ósmy dzień podróży wysiadłyśmy w Bergen Belsen, nogi nasze nie były zdatne do chodzenia. Niemcy nie uznający niemożliwości biciem zmusili nas do parogodzinnego marszu. Okolica, choć w nocy, wydawała nam się piękna. Nagle zobaczyłyśmy obozowe ogrodzenia i murowane bloki. Nie marzyłyśmy, aby były przeznaczone dla nas. Nie myliłyśmy się. Zaprowadzono nas do drewnianych bloków, będących niegdyś wojskowymi lazaretami. Puste sale bez słomy, z brudną podłogą — oto było locum dla nas zgotowane. Nie zważając na nic poukładałyśmy się jak śledzie i zasnęłyśmy po raz pierwszy od tylu nocy kamiennym snem. Na drugi dzień zajęto się nami. Poszłyśmy do łaźni, zameldowały się i wyznaczono nam bloki, w których miałyśmy spać i jeść. Pracy nie było żadnej.

I znów okropna ciasnota, znów niemożliwość wyprostowania członków. Wychodzenie na pole do dołu kloacznego, utrudnione przez ciągłe „blochspery". Dwa razy dziennie apel, raz dziennie pół litra zupy z karpielami. Wieczorem jedna szósta część chleba, z bochenka, który ważył 1,20 kg. Rozpoczęło się prawdziwe piekło. Ciągle bite i poganiane przez blokowe (przeważnie z załogi oświęcimskiej), starałyśmy się przestrzegać regulaminu. Z czasem jednak do tego stopnia osłabłyśmy, że tylko katowanie mogło pobudzić w nas przebłyski energii. Rano o piątej godzinie pobudka i wyjście z baraku w celu posprzątania go przez sztubowe. Po dwu godzinach zmarznięte na kość lokowałyśmy się, aby jak najmniej miejsca sobą zajmować. O ósmej apel. W minutę wszystkie ustawione przed barakiem czekałyśmy na aufseherkę i przeliczanie nas, a było nas 1000. Po godzinie czy dwu zjawiała się w asyście „lageralteste" Steni, z pochodzenia tarnowianki, młodziutkiej i zgrabnej, lecz równie surowej. Wszystko, aczkolwiek drżące z zimna, stara się stać równo. Po przeliczeniu wszystkich bloków, to znaczy po mniej więcej trzech godzinach, apel skończony. Wracamy do bloku. O pierwszej godzinie wychodzi grupa po kotły z obiadem. Przez pewien czas zgłaszało się wiele, aby rozprostować członki, lecz w późniejszych czasach osłabienie nie pozwalało dźwigać ciężarów i znów tylko bicie zmuszało nas do wykonywania tej czynności. Po chleb szło się ochotniej, lecz gdy mierząc na milimetry rozdzielałyśmy go — nie wiadomo było jak go najlepiej zużytkować. Za ćwiartkę z 1/6 chleba kupowałyśmy 1/2 litra zupy, za drugą ćwiartkę kawałek surowego karpiela (witamina), za trzecią plasterek mydła lub proszku do prania, a wreszcie czwartą z wielkim smakiem zjadałyśmy lub mocując się z głodem chowało się na następny dzień, aby podczas apelu mieć co do ust włożyć. Tak kończył się dzień i znów kwestia spania. Pięćset kobiet na jednej sali, mniej więcej długości 20 metrów i szerokości 4 m, rozmaitej narodowości, nawzajem się przeklinających, tworzyło jarmark nie do opisania. Trwało to tak długo, aż zniecierpliwiona blokowa nie mogąc zasnąć, miała pokoik odgradzający szafami część sali, straszyła nas wyznaczeniem kary lub oblewała wodą. Czasem skutkowało i jak kto mógł chylił głowę i kulił się, aby przedrzemać noc. Zdarzało się przespać pół godziny na noc. Zupa z domieszką sody powodowała biegunkę, tak zwane „durchfal" i noc była stworzona do istnych procesji wychodzących na stronę. Nie każda mogła wstrzymać się do odpowiedniego momentu, toteż [przejście] przez środek baraku o świcie nie wyglądało zbyt apetycznie. Ranek czynił kres przez nas zwanych wędrówek ludów i teraz dopiero nie potrącana mogłabym zasnąć. Powstrzymywał mnie krzyk sztubowej „aufstehen" i towarzyszące mu uderzenia kijem. Kto silniejszy zrywał się jeszcze, by biec do

umywalni czynnej tylko rano. Po ciemku obnażałyśmy nasze wychudłe ciała, aby przetrzeć je wodą. Pomagało to jak umarłemu kadzidło i po krótkim czasie pokazały się wszy. Stopniowo coraz więcej, aże nie sposób było się od nich obrać. Rozszalała epidemia tyfusu brzusznego i plamistego. Bez żadnych środków leczniczych liczba ofiar rosła w zastraszający sposób. Już w marcu mogłyśmy się wygodnie wyciągnąć na ziemi, tyle było miejsca po trupach. Dziennie na blok 20 do 30, przeważnie Węgierki, bo te były najbrudniejsze. Polki najwytrwalej walczyły z zarazą. W marcu śmierć zbierała najobfitsze plony. Już przestałyśmy się zajmować, nie wiadomo skąd docierającymi do nas, wiadomościami politycznymi. Nie mogłyśmy już wierzyć w nic dobrego. Pióro najlepszego pisarza nie odtworzyłoby grozy sytuacji, jaka zapanowała nad kilkudziesięcioma tysiącami ludzi. Minął kwiecień i nadszedł dzień, że zaprzestano wydawania fasunku chleba. Nawet o pół litra wody z karpielami trzeba było nie małych starań.

W obozie kobiecym funkcjonowała tylko jedna studnia, a na pompę dopływ wody był odcięty, wtedy z niezrozumiałych dla nas powodów. Za przyniesioną wodę do kuchni dostawało się tyleż litrów zupy na blok. Z powodu wielkiego przerzedzenia ludzi, połączono kilka bloków razem, tak że na jeden przypadało około 200 litrów zupy. Przeciętnie po kwaterce na osobę. Na tym wikcie nie byłyśmy już podobne do ludzi. Stanowiłyśmy garść szkieletów poruszaj ących piszczelami. Gorączka w straszny sposób trawiąca nas, obalała z nóg. Tak przeszły najstraszniejsze dwa tygodnie. Nagle silny nalot lotniczy wśród nocy dał nam jakiś ledwie tlący promyk nadziei, że coś się dzieje. Zmarłych już to nie wzruszało, ale garstka żyjących, wynosząca codziennie moje koleżanki na stertę trupów przed barakiem, zaczęła szeptać między sobą, że na szczęście nasz koniec już chyba bliski, bo wojsko rosyjskie lub angielskie jest w pobliżu. 13 maja ogłoszono nam fasunek chleba. Było to dla nas zagadką nie do rozwiązania. Wystarczył nam jednak fakt, że będziemy jadły chleb. Nie wiedziałyśmy, co kryje się pod tym rzekomym zbawieniem. Nagle rozeszła się wiadomość, że „Lageralteste” Stenia jest struta po zjedzeniu świeżo pieczonego ciasta. Przy ogromnych staraniach odratowano ją.

Po paru godzinach wiadomość nie mogąca dotrzeć do naszej świadomości: wszyscy SSmani ubrali białe opaski na znak poddania się, ogólny zakaz strzelania i — o nieba — że z dala słychać turkot nadjeżdżających czołgów. Za bardzo byłyśmy przybite, aby wierzyć. Zresztą jak nawet nadejdą nasi zbawcy, będzie za późno. Wszyscy najpierw skończymy się. Tak rozmyślałyśmy leżąc na ziemi. Oczekiwałyśmy śmierci, która miała o godziny wyprzedzić zbawienie. Lecz były i takie, które zachowały jakimś cudem trochę sił. Nadeszły z wiadomością, że czołgi angielskie wjeżdżają do obozu. „Głupie” — mówiły konające pesymistki — „czy myślicie, że Anglicy wejdą do takiego tyfusowego obozu”. A jednak weszli. Wlokąc się po ziemi, patrzyłyśmy, nie umiejąc się radować, na wkraczających. Jakże miałyśmy okazać swą wdzięczność — my — z których Niemcy zrobili kupę łachmanów i „muzułmanów”. Gdzie były kwiaty, którymi miałyśmy usiać drogę zwycięzcom, gdzie okrzyki powitania. Na niewielu twarzach widniały łzy.

Myśmy już płakać nie umieli. A później nagła myśl przeszywająca mózg: a gdzie chleb, dlaczego nam chleba nie przywieźli? Na próżno na wpół angielską, na wpół kaleczoną mową niemiecką starali się nas przekonać, że dziś ostatni dzień głodówki, a jutro już wszystko będzie. Rzuciłyśmy się na beczki ze stęchłą kapustą, jeszcze z niemieckich zapasów, karpiele leżące przed kuchnią także były naszym łupem. Kto silniejszy myślał jeszcze o rabunku magazynów odzieżowych. Ktoś rzucił hasło „na kopce z ziemniakami". Tam dopiero była uczta. Rękami grabiłyśmy ziemię, aby wydobyć z niej cenny łup. Lecz przyszło znów opamiętanie: gdzie chleb? Cóż z tego, że wolno mi przechodzić przez miejsce, gdzie dawniej były druty, że mogę nabrać karpieli, gdzie chleb? Czy Anglicy będą nas morzyć? Odpowiedź nadeszła w następny dzień. Piecze się dopiero świeży chleb. Poprzedni, już wypieczony w ilości 7 wagonów, był przez Niemców zatruty. Mała dawka tej trucizny była wypróbowana na Steni. Wszak parę godzin opóźnienia, a byliby Anglicy zastali obóz trupów, chociaż i tak zasługiwaliśmy na tę nazwę. Nareszcie dostaliśmy wspaniałą zupę z niemieckich konserw, tłustą i z mięsem. Nie zważając na nic jadłyśmy aż do nudności. Skutki tego były tragiczne. Wyjałowione

i skurczone jelita nie strawiły nadmiaru tłuszczu i teraz dopiero wzmogła się śmiertelność. W przeciągu miesiąca zmarło siedemnaście tysięcy ludzi. Po paru tygodniach przeniesiono nas do czystej dzielnicy w Bergen, gdzie zajęliśmy dawne bloki pensjonatowe, była to bowiem miejscowość kąpieliskowa. Stary obóz w Belsen spalono, a wraz z nim wszy, zarazki chorób i nasze, nie do opisania moim piórem, piekło.

Bergen — Kraków, lipiec 1945 r.

Opracował: Aron Kohn, Hajfa – Izrael